



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

### BALONEM DO BIEGUNA.

PRZEZ

WŁ. UMIŃSKIEGO.

(Dalszy ciąg).

Innej odpowiedzi Gromski nie spodziewa się usłyszeć od starego marynarza; odpocząwszy nieco na bryle lodu, podążył w ślad za Fordem, który nie zatrzymywał się ani nachwilę. Przewidywania Jamesa, oparte na zmianie koloru nieba, poczynają się sprawdzać, szolla stawała się coraz cieńszą; miejscami spotykano duże niezamrznęłe przestrzenie, ponad którymi w promieniach słonecznych wisiały brudno żółte opary. Oparzeliska te należało zdala wymijać, nadto inżynier dostrzegał mnóstwo okrągłych lub owalnych otworów kilkunasto centymetrowej średnicy, porobionych, jak objaśniał doświadczony James, przez psy morskie, dla oddychania.

Szollę pokrywała gruba warstwa soli, która osadziła się z parującej na powierzchni wody. Podróż po topniejącym lodzie nie mogła trwać długo.

— Kapitanie, bacność — krzyczał Gromski za oddalającym się ciągle Fordem.

Kapitan jednak nie odwrócił się nawet, szedł naprzód, jak żołnierz zagrzany walką, do szturm; kilka razy upadł przeskakując szczeliny, lecz wnet się podnosił dążąc dalej ku szafirowej wstędze oceanu, która rozszerzała się pod czarnym horyzontem.



Kapitanie mój! zawołał przez lzy James, podbiegając ku niemu z rozwartymi ramionami.

Ta gorączkowa zaciekleść kapitana niepokoiła coraz więcej jego towarzyszy.

— Ależ on utonie! — zawołał Gromski, widząc jak Ford zbliżał się nieostrożnie do oparzelisk.

— Chyba razem ze mną! — odparł sternik; i rzuciwszy swój węzełek, stary marynarz pędem pobiegł za swym dowódcą.

— Naprzód, James! — rzekł z zapalem Ford, ujrawszy obok siebie sternika; już tylko dwadzieścia kilometrów!

— Ocean przed nami, kapitanie!



— Naprzód, powiadam! — odparł Ford, wyciągając rękę.

Ten upór kapitana doprowadzał do rozpaczki Jamesa.

— Kapitanie mój, trzeba wrócić—rzekł stanowczo, zastępując mu drogę.

— Przenigdy, James, dojdziemy do końca szolli.

— Lód jest kruchy...

— Więc boisz się?—zagadnął ostro Ford, spoglądając ironicznie na sternika

— Ja—oburzył się stary marynarz—ja boję się, kapitanie?

Ten wyrzut rozbroił Forda.

— Przebacz, mój stary — rzekł, ściskając rękę Jamesa;—wiem, że chodzi ci o mnie, prawda? Ale bądź spokojny, zawrócę natychmiast, doszedłszy do otwartego morza; widzisz trzeba nie mieć sobie nic do wyrzucenia; zresztą pamiętaj, że każdy krok zbliża nas do bieguna. Czy spostrzegasz górę lodową na horyzoncie? To tam.

— Ah! czemuż nie mamy łódki?

I Ford, zatrzymawszy się na chwilę, załamał rozpaczliwie ręce; cierpiał on teraz niewymownie, widząc cel swój tak bliskim, a jednak tak niedostępnym.

— Możemy zrobić jeszcze dwa lub trzy kilometry — rzekł; — gdzie inżynier?

— Sił mu zbrakło.

— Powol! nadejdzie. Naprzód, mój stary!

Sternik wiedział, że żadna siła nie zdoła powstrzymać zgorączkowanego kapitana, w milczeniu więc ruszył za nim.

O kilometr dalej kończyła się szolla; miejsce jej zajęły większe i mniejsze kry, oddzielone od siebie obszernymi wulkami, z pod których przeglądała woda. Ford nie cofał się jednak przed temi przeszkodami; z szaloną odwagą stawiał nogę na wąty gasz, t. j. na mieszaninę śniegu i okruców lodowych, niebacznym na niebezpieczeństwo; kilka razy lód trzeszczał, pękał pod nim złowrogo... Wtedy James zatrzymywał się ostrożnie i, aby nie zwiększać ciężaru, obchodził niepewne miejsce. Niebezpieczna ta wędrówka zbliżała się do końca; o kilkaset kroków od kapitana wdzierały się już z szumem fale na szollę, budując z jej szczątków baryerę. Kra, na której znajdowali się dwaj marynarze, drżała i kołysała się leciuchno pod uderzeniami bałwanów.

W tem miejscu Ford zatrzymał się i, skrzyżowawszy ręce na piersiach, błędnął wzrokiem po nieskończonej płaszczyźnie wodnej, jak gdyby pragnął odszukać ów punkt tajemniczy, do którego dążył.

— Dwie mile... dwie tylko, ani kroku dalej— szeptał; — Ah!...

I wydawszy ten okrzyk, w którym zawarł rozpaczliwy protest przeciwko swej bezsilności, kapitan obiema rękami schwycił się za posiwiałe niedawno włosy.

— Kapitanie mój!—zawołał przez łyż James, podbiegając ku niemu z rozwartymi ramionami.

Lecz Ford nie odpowiedział na to serdeczne, pełne współczucia wezwanie; z wyciągniętymi naprzód dłońmi szedł ku południowi na spotkanie fali, omywającej szollę.

Nagle wąta kra ugięła się... trzasła, i dzielny marynarz zniknął pod lodem...

Przelecieć tysiąc z górą kilometrów po nad pustym oceanem lodowatym, przeniknąć w głąb tajemniczego kontynentu Południowego, niezaprzeczenie najniebezpieczniejszego

ze wszystkich części naszej planety, nakoniec z narażeniem życia przedzierać się przez nieprzebyte lody biegunowe, to zaiste czyn bohaterski i zuchwały, jedyny w historii odkryć. Zdawałoby się, że ludzie, którzy potrafili go dokonać, osiągną upragnionego celu. Tymczasem stało się inaczej. Nasi żeglarze, pokonawszy olbrzymie przeszkody, o przełamanie których napróżno kusiliby się ktokolwiek bądź inny, musieli cofnąć się przed najmniejszą z pozorów ze wszystkich—przed wodą. Ich cudowny statek, przeznaczony do pływania po oceanie powietrznym, nie mógł im posłużyć do ostatka. Nieustraszony kapitan Ford zrobił wszystko, aby tylko mieć prawo powiedzieć dumne słowa: „biegun leży tutaj — stoję na nim”; zapewne nawet przypłaciłby życiem swój fanatyzm naukowy, gdyby nie poświęcenie się dzielnego sternika, który z narażeniem własnej osoby, wydobyl swego dowódcę z pod lodu.

Koniec topniejącej szolli był kresem podróży naszych bohaterów.

Ford zrozumiał to, gdyż pierwszemi słowy, jakie wymówił przyszedłszy do siebie po długim omdleniu było: —wracajmy, towarzysze.

Dnia 15, w południe kapitan, drżącą ze wzruszenia ręką skierował sekstans na biegunowe słońce, aby z największą możliwie ścisłością oznaczyć punkt, do jakiego zdołano dotrzeć. Była to uroczysta chwila: po ukończeniu postrzeżeń, inżynier starannie nakreślił w samym środku białego pola na mapie południowej półkuli, mały krzyżyk; ten ostatni leżał zaledwie o dwie mile geograficzne od matematycznego bieguna.

Sternik, ten zahartowany, twardy marynarz, w milczeniu płakał, odwróciwszy głowę.

Były to łyż radości, czy zawiedzionej nadziei? Gromskiego pierś wzbierała zato dumą i rokosznym upojeniem; inżynier trzeźwo patrzył na rzeczy; nie było w nim ani cienia zacieklego formalisty, do jakich należał potroszę kapitan. To, czego dokonał, zadawałniało go w zupełności; pragnął on teraz czempredzej zawieźć światu wiadomość o świetnym odkryciu.

Odpocząwszy dwanaście godzin, nasi żeglarze skierowali się na północ, dążąc z natężeniem wszystkich sił ku opuszczonemu balonowi. Inżynier niepokoił się żywo stanem nadpowietrznego statku. Czy gaz nie uleciał zeń jeszcze? Czy nie zapóźno przybędą? Te myśli ani na chwilę nie opuszczały Gromskiego, przeczuwał on niebezpieczeństwo. Nasi żeglarze powinni byli znajdować się już przy aerostacie w dniu, kiedy wyruszyli dopiero z powrotem. Fanatyczny opór kapitana mógł pociągnąć za sobą fatalne następstwa dla niego samego i dla jego towarzyszy.

Wszystko zależało od szybkości podróży; spieszono się więc, odpoczywając tyle tylko, ile tego koniecznie potrzebował strudzony organizm.

Nasi żeglarze; obawiając się powtórnej przeprawy przez łańcuch lodowców, w których o mało co żywcem nie zostali pogrąbani, skierowali się cokolwiek na wschód, w nadziei, że im się je uda wyminąć.

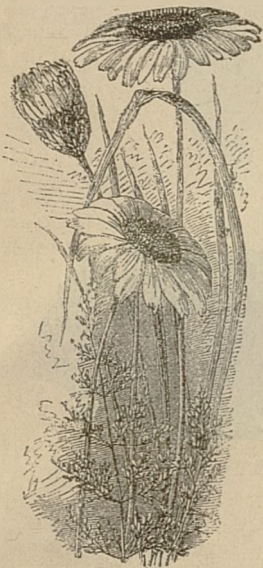
Na trzeci dzień zaraz przekonano się jednak, że nowa droga była o wiele uciążliwszą od starej. Łańcuch gór lodowych nie sięgał daleko, ale zato szolla kończyła się o 15 kilometrów ku zachodowi; przekroczywszy jej granicę, nasi podróżni wkroczyli w labirynt prawdziwy niezmiernych lodów biegunowych. Wszystkie trudy, jakie musieli znosić dotychczas, były igraszką w porównaniu z tem, co ich czekało teraz;



przedzierano się z mozołem z baryery na baryerę, z zatoru na zator, przelażono przez potężne złomy morskiej kry, przypominające ogromem swym góry lodowe. Ocean antarktyczny przedstawił się naszym śmiałkom w całej swej grozie. Ta podróż powrotna była zacieklą, nieustającą walką z potęgami przyrody, walką, wobec której niczem są owe krwawe boje, staczane z bronią w rękę; tam dla osiągnięcia zwycięstwa dość chwilowego upojenia, które znika wraz z kłębam dymu prochowego; tu zaś, trzeba wytrwałej, niczem złamać się nie dającej energii i żelaznej woli. Wyruszając z krańca szolli, inżynier i jego towarzysze czuli się dość silnymi, aby stawić czoło trudom podróży. Ożywiała ich nadzieja, iż dotrą po upływie kilku dni do aerostatu i niezwłocznie opuszczą „Ziemię Śmierci.”

(d. c. n.)

## Kilka słów o ludziach dobrej woli, trochę o owocach i nieco o kwiatach.



Wyraz „Towarzystwo ogrodnicze”, obił się pewnie nieraz o uszy młodych naszych czytelników, ale prawdopodobnie mało kto z nich pojmuje dokładnie jego znaczenie, i wie że związane się ono w celu rozpowszechnienia ogrodnictwa w kraju całym i podniesienia przez to jego dobrobytu. Czytający te słowa, zapytają może co za związek ma ogrodnictwo z dobrobytem mieszkańców? Odpowiemy na to: gdy będzie więcej u nas drzew owocowych, niż jest obecnie, przybędzie ludziom pożywienia i będą mogli urozmaicać swoją strawę zdrowym a tanim pokarmem. Bo owoce spożywają się nie tylko na surowo: można je suszyć, gotować, wyrabiać z nich rodzaj ciasta, bardzo pożądanego jako dodatek do zwykłej, mniej smacznej lub nieomaszczonej strawy.

Z owoców wreszcie można wylączać napój wybornie zastępujący wino lub piwo, a wszystkie z nich wyroby, czy to pod postacią napojów, czy ciasta lub suszu, dają się długo przechowywać. W roku zeszłym nasz kraj dotknięty został nieurodzajem kartofli i żyta, które stanowią podstawę pożywienia ludu — wskutek czego tak zdrożały, że trudno się ich dokupić, albo wcale kupić nie można, bo niema do sprzedania. W Rosyi i Węgrzech, gdzie kłeska ta objawiła się jeszcze silniej, zgłodniała ludność rzuciła się do wypieku chleba z kory drzewa i siczki; chleb taki ani jest pożywny, ani zdrowy dla ludzi. Gdyby w krajach tych i u nas była obfitość drzew owocowych, nie doszłoby do takiej ostateczności.

W niektórych krajach Europy prowincje całe zamieniły się w kwitnące ogrody; drogi, miedze, wąwozy i różne nieużytki, są tam obsadzone drzewami owocowymi. Widmo głodu zniknęło, a z pojawieniem się dobrobytu wzrosła i moralność, bo nie było łaknących, którzy dawniej zazdrościli nasyconym. Najszczęśliwszymi pod tym względem krajami, są: Normandya, Lombardia, Wirtemberg, Czechy, Morawia, Styrya; wieśniak tam idący do roboty, zabiera z sobą dzban wina wyrabianego z jabłek, czyli jabłeczniku, napoju wzmacniającego, który nie upaja a gasi pragnienie. I nasi wieśniacy mogliby używać tego zdrowego a taniego napoju, i nasi rzemieślnicy mogliby wśród pracy krzepić się winem dostępnem dotąd tylko dla bogatych, byle tylko ludzie chcieli hodować drzewa i krzewy owocowe. Bóg dobry sypie ludziom hojnie dary, trzeba tylko aby umieli ich używać! Nie jestże cudownym darem niebios, roślina wyrastająca z maleńkiego ziarenka w oka-

zale drzewo i co lato wybornymi okrywające się owocami? Drzewo daje nie mniejsze korzyści niż krowa lub kura, a utrzymanie jego mniejszych wymaga starań i mniej kosztuje. Drzewo owocowe nie potrzebuje siana, kartofli, ziarna, ani dachu nad głową, jak tego potrzebują zwierzęta domowe; drzewo mieszka pod gołym niebem, korzonkami czerpie pokarm z ziemi a liśćmi z powietrza. Człowiek daje mu tylko trochę wody, trochę nawozu, a o resztę już ona samo się stara. Tak mało wymaga, a tak wiele daje w zamian! — drzewa bowiem nie tylko żywią człowieka, ale i pod innym względem dobroczynnie na niego działają: one poprawiają klimat, ponieważ liczne z drzew owocowych przegrody, wstrzymują wiatry. Drzewa wreszcie odświeżają powietrze, pochłaniając liśćmi swemi kwas węglowy wydzielany przez ludzi, a wydzielają natomiast tlen potrzebny ludziom do oddychania; regulują też wilgotność okolicy, wyziewając dużo pary wodnej, którą z głębokich warstw ziemi jako wodę dobywają.

Znalazło się u nas grono ludzi dobrej woli, i ci przed siedmioma laty założyli Towarzystwo ogrodnicze, które rozpowszechnia wiadomości jak trzeba obchodzić się z roślinami, za pośrednictwem wydawanego przez specjalistów pisma p. t. „Ogrodnik polski”, wskazuje jakie odmiany owoców najwłaściwsze są dla naszego kraju. Bo drzewo, tak jak człowiek, nie w każdym klimacie równie pomyślnie rosnąć może; idzie więc o to abyśmy mieli nie tylko odmiany smaczne ale trwałe i wytrzymałe na mróz. Towarzystwo ogrodnicze urządza dla swych członków i gości, pogadanki o hodowaniu drzew owocowych, warzyw, kwiatów, wspiera radami swemi młodych niedoświadczonych ogrodników, a starszych za ich wytrwałą pracę wynagradza pieniężnie. Słowem, czyni co może, z nadzieją i wiarą, że przyczyni się do podniesienia ogólnego dobrobytu.

Ale w ogrodach nie same tylko znajdują się owoce: są i kwiaty napelniające wonią powietrze i przyciągające oczy ludzkie pięknymi barwami. One także niemałe mają w życiu znaczenie: rozweselają ubogie mieszkania, a najskromniejszą zastawę stołu zamieniają we wspaniałą. Kwiaty nakoniec mogą także stać się dla nas źródłem dochodu, bo jest wiele ludzi bogatych, niemałe na kwiaty wydających pieniędzy, dla których przychodzą one z zagranicy. Jeżeli zaś to co się stamtąd sprowadza, będzie u nas wyhodowane, to pieniądze wysyłane do obcych pozostaną w kraju.

Chcąc przeto z jednej strony zachęcić ludzi do hodowli kwiatów, z drugiej pokazać że nie tylko zagranica pięknych kwiatów dostarczyć może, Towarzystwo ogrodnicze urządza w różnych porach roku wystawy. W listopadzie oglądaliśmy właśnie wystawę *jastrunów* czyli *złocieni*, po łacinie *Chrysanthemum*. Należą one do rodziny złożonych. Promieniste ich, różnobarwne, do astrów podobne kwiaty, pochodzą z Chin i Japonii. Niemało ich też wyhodowali ogrodnicy europejscy z wysiewu nasion otrzymanych przez zapyłanie jednych odmian drugimi. Kształty, gatunki, odmiany jastrunów, bywają najrozmaitsze: są letnie i trwałe; gruntuowe i doniczkowe, wysokie i niskie, wczesnie i późno kwitnące; są nawet drzewka jastrunowe, różnej wysokości, o kulistych i piramidalnych koronach, naśladujące drzewka różane. Drzewka te otrzymuje się sztucznie odpowiednią hodowlą, tak np. jak pienne ułanki (Fuchsia). O głównych cechach rodziny złożonych, czytelnicy dowiedzieli się już z listów Janka sieroty, pisanych z Wyspy Atlanty, gdzie była mowa także o bławatku i brodawniku, należących do tej samej rodziny — nie będziemy więc tu powtarzali znanych im szczegółów. Dodamy tylko, że jastruny polne i łąkowe, zwane pospolicie przez lud „wołowami oczami”,



Jastrun łąkowy.



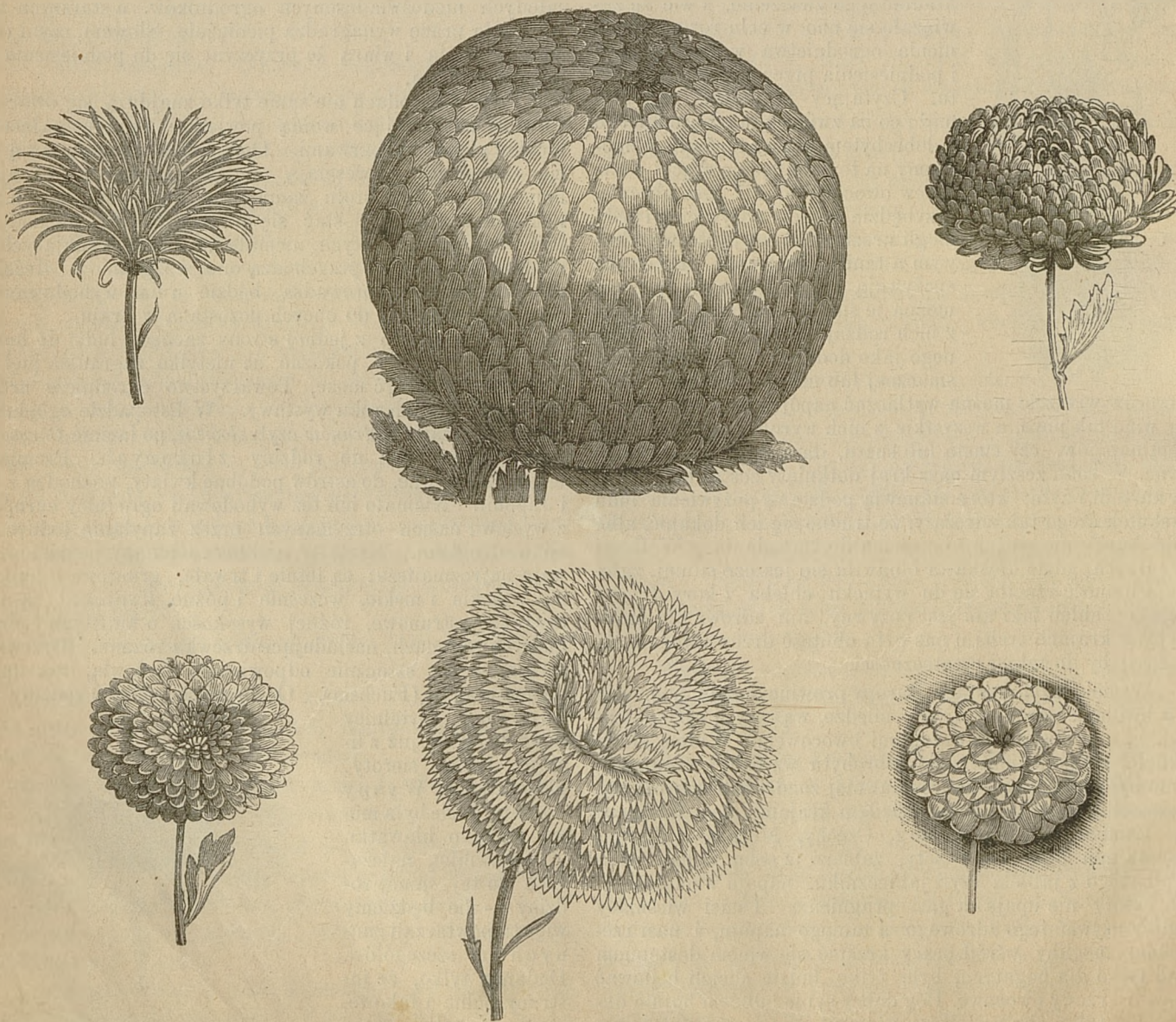
mają korzeń dość gruby, stożkowy, pionowo zagłębiający się w ziemię, a lodyga pokryta jest drobnymi, rzadkimi włoskami. Wydaje ona najprzód tuż przy ziemi kilka liści, w kątach których powstają pączki wydłużające się w gałęzie. Gałązki te czołgają się po powierzchni ziemi i wypuszczają z rozmaitych punktów włókna korzeniowe. Następnie wznoszą się w górę, dorastają dwóch stóp wysokości i wydają gałązki zakończone główkami kwiatowymi.

Nasz jastrun łąkowy w zestawieniu ze wspaniałymi odmianami, jakie zgromadziło dla publiczności Towarzystwo ogrodnicze, wygląda jak ubogi wieśniak wśród postrojonych magnatów — a zestawienie to pokazuje najlepiej, co może silna wola, praca ludzka i wytrwałość. Wskutek bowiem starannej hodowli połączonej z krzyżowaniem (tak nazywają ogrodnicy przeniesienie pyłków z pręcików kwiatów jednego gatunku, na słupki innego gatunku, dla otrzymania odmian nowych), otrzymano niesłychaną ilość odmian o różnokształtnych kwiatkach, różnych barw i odcieni. Powstała stąd tak wielka różnorodność jastrunów, że je aż podzielić musiano na różne grupy. Udało się nawet otrzymać na barwnych płatkach żółte i białe pręgi, co wielce oryginalnie chociaż zbyt może jaskrawo wygląda. Zamiast wyliczać nazwy lub opisywać szczegółowo powierzchowność tych najmodniejszych dziś w całej Europie kwiatów, podajemy tu czytelnikom naszym liczne ich wizerunki. Wszystkie które tu są przedstawione

i setki innych, podziwialiśmy na listopadowej wystawie, począwszy od najprostszych, aż do wspaniałych kulistych pióropuszków wielkości spodków od filiżanek, a nawet talerzyków deserowych. Olbrzymich tych okazów dostarczyli Anglicy, a stało się to przypadkowym sposobem. Agent jednego z domów handlowych w innej sprawie do Warszawy przybył, dowiedziawszy się o zamierzonej wystawie, zatelegrafował natychmiast do Londynu i kwiaty obcięte, starannie opakowane, zdążyły jeszcze przybyć na czas, nie straciwszy w drodze nic ze swej świeżości. Widzimy stąd jakin Anglicy przedsiębiorczym są narodem, jak nie pomijają żadnej sposobności, ani nie szcędzą kosztów dla rozświetlenia swej pracy.

Anglia, Francja i Holandia urządzają u siebie specjalnie wystawy jastrunów, a w Japonii zamiłowanie do nich dochodzi do tego stopnia, że żadna większa uroczystość bez nich obejść się nie może. W r. 1888 *Wieczory rodzinne* drukowały opowiadanie członka poselstwa francuskiego, o uroczystości dworskiej, p. t. „Czarodziejskie ogrody cesarzowej japońskiej”. Wspomniony dyplomata brał udział w uroczystości tego prawdziwego święta jastrunów i opis jej wierny przesłał do kraju. Jest to opis tak piękny, że można go wziąć za fantastyczną bajkę wschodnią.

*Zofia Urbanowska.*



J A S T R U N Y.





OLBRZYMI JASTRUN.

## MAŁY KRÓLEWICZ,

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WĘGIERSKICH.

przez Teresę Jadwigę.

(Dalszy ciąg).

— A więc zostaniecie matko tutaj — odparła niewiasta — a o pensji, ja pamiętać będę, by was co miesiąc doszła; tymczasem weźcie to, co mam przy sobie, boć domku nie zechcecie sprzedać, a sprzęty widzę tu tylko konieczne. To mówiąc starsza z niewiast odrzuciła czarny płaszcz, który miała na sobie i dobywszy z torby wiszącej u pasa kilka sztuk złota, wsunęła je w rękę staruszki.

Ta spojrzała zdumiona na hojny datek, potem na piękną twarz tej co go dała i w oczach jej błysnęło jasnowidzenie.

— Królowa! — szepnęła.

Izabella położyła palec na ustach milczenie nakazując. Stara pochyliła się do jej nóg.

— Nie darmo ludzie mi mówili, że anioł zstąpił na ziemię Węgrów — rzekła i chwyciwszy rękę królowej do ust ją poniosła.

— To mnie raczej korzyć się przed tobą, matko Elżbieto — rzekła Izabella i wyszła wzruszona z ubogiej izdebki. Podążyli za nią Hala i Martunizi równym przejęci uczuciem.

Szli w milczeniu, ksiądz ze zwieszoną na piersi głową postępował naprzód zamyślony poważnie, kobiety idące za nim, czuły się wzruszone, lecz wzruszenie to było spokojne, jak spokojnym był smutek matki Elżbiety. O parę kroków za domkiem Szerdana wznosił się drugi równie niski i ubogi; podskarbi zbliżył się do jego drzwi i zakołatał, nikt mu nie odpowiedział, płacz tylko dzieci dochodził ze środka, przeto sam drzwi otworzył i wsunął się do izby.



— W imię Boże pozdrawiam mieszkańców tego domu — rzekł.

— Nie wymieniacie imienia Boga — odparł mu posępny głos.

Ksiądz nie zważając na odpowiedź, do wejścia nie zachęcając, szerzej drzwi otworzył, wolne wejście królowej zostawiając, Izabella i Hala weszły razem, za niemi Martunizi. Izba mniej była pustą od poprzedniej, lecz o wiele smutniejszej czyniła wrażenie: na podłodze pełno było śmiecia, na ścianach pajęczyny, na stole i kominie widać było brudne łańchmany, niepomyte naczynia i resztki jedzenia. W kącie izby, na garści słomy leżało dwoje pół nagich dzieci, które cicho płakały; blade ich twarze mówiły dostatecznie, co im dolega. Ujrawszy obcych ucichły, patrząc zdziwionym i przestraszonym wzrokiem na księdza, królowę i jej tawarzyszkę... Na tapczanie, obok barłogu siedział mężczyzna w poplamionej bekieszce, z głową rozczochraną, ponurem wejściem powitał on wchodzących, lecz z miejsca nie powstał.

— Gdyby Boga nie było, nie przyslibyśmy tutaj — odezwała się łagodnie Izabella i nieproszona siadła na krzesło, które najbliżej drzwi stało, odchyliła zasłonę i rozglądając się w około rzekła: — Nędza u was wielka.

— To nagroda za krew, jaką przelewałem dla króla Jana — odparł z goryczą siedzący na tapczanie — za tę rękę, straconą w walce z Austryakami — i wskazał na pusty rękaw bekieszcy.

Blada twarz Izabelli pobladła jeszcze bardziej, Martunizi wzrok spuścił, jakgdyby się wstydził, że nic nie wiedział o tym nieszczęśliwym.

— Imię wasze? — spytała Izabella.

— Powiedźcie pierwej swoje — odparł hardo Węgier — taki zwyczaj u nas, iż gdy pod dach czyj wchodzimy, mówimy ktośmy...

— Od króla przysłani jesteście, by was zapytać czego wam brakuje — rzekła Izabella — imienia naszego nie wolno nam mówić.

— Od króla? Czyż on pamięta o nas? — i powątpiewając głową poruszył, potem wpatrzył się badawczo w twarz kobiety i rzekł: — Janowi Zapolya nędza jego poddanych jest obojętną... kazał nam walczyć, przelewaliśmy krew, ginęliśmy, traciliśmy mienie, wracaliśmy kalekami z wojny, on o to nie dbał, nie obchodziło go to; zapewnił sobie tron i jest zadowolony; lecz Jan Zapolya pojął w małżeństwo niewiastę zącą, która lubo Węgierką nie jest, jest dla Węgrów troskliwą matką, już wiem wszystko... widzę królowę przed sobą... To powiedziawszy wstał i przykląkł.

— Rycerz Ludwik Petöfi klęczy przed tobą pani.

— Wstańcie rycerzu — przerwała mu królowa — przykrości mi nie czynicie, przed Bogiem się tylko klęka... Wstańcie i powiedźcie mi wszystko, co wam leży na sercu, chcę wam ulżyć, polepszyć dolę waszą.

— Krótka jest historia mej niedoli — rzekł powstawszy. — Miałem żonę i pięcioro dzieci, miałem gruntu kawał i dobytek znaczny, byliśmy szczęśliwi, dzieci zdrowo się chowały, ziemia plon bogaty rok rocznie przynosiła; wtem przyszedł rozkaz króla, by iść na wojnę i zburzył nam szczęście... Poszedłem, wróciłem kaleką do domu, zastałem żonę chorą, troje dzieci w mogile, sam leżeć musiałem, bo rana niezagojona sprawiała straszne cierpienia, gospodarstwo poczęło upadać, przeniosłem się do miasta, gdzie z grosza żyliśmy, ten wyczerpał się szybko, czarna przyzłość stała przed nami, żona ze zgrzyoty umarła, i dobrze... nie doczekała nędzy. Dziś prócz tych kilku sprzętów, tych dwojga biednych dzieci i tej goryczy co mam do ludzi w sercu, nic mi więcej nie zostało!... Bluźnię i przeklinam, bo pracować nie mogę, a dzieci chleba wołają...

Tu umilkł i posępnie spojrzął na dzieci, które w tej chwili zapomniały o głodzie; Hala tymczasem przysunęła się do nich i gładziła potargane włosy, twarz jej jasna wzbudziła śnać zaufanie w dzieciach, patrzyły na nią uśmiechnięte, dwoje ich było: dziewczynka i chłopczyk; dziewczynka śmielsza

siadła na kolanach jasnowłosej pani i bawiła się złotą kłamrą, którą spięty miała płaszcz.

— Od dziś przestaniecie bluźnić, ufam Bogu — odezwała się królowa po chwili namysłu — dzieci wasze oddam w opiekę jakiej poważnej niewiasty, wam miejsce u króla w zamku wyrobię.

— Kalece? — odparł tonem powątpiewania Pötöfi.

— Bez ręki na straży wszakże stać można... strażnikiem zamku uczyni was Jan Zapolya — rzekła Izabella, podniosła się i wsunęła w rękę nieszczęśliwemu parę sztuk złota.

— Jałmużną darzycie tego, co walczył za króla — odparł Węgier z goryczą i pieniądze na stole położył.

— To nie jałmużna, to dług, który płaci królowa Węgier temu, kto służył sprawie jej męża — i skinąwszy na swą towarzyszką zwróciła się ku drzwiom.

Hala ucałowawszy dzieci, pośpieszyła za nią, szli znowu w milczeniu, ale zgnębieni teraz.

— O jak różne bywają niedole ludzkie — odezwała się pochwili Izabella

— Prawda królowo i „jak różne bywają serca ludzkie” — odparł ponuro ksiądz.

Gdy wrócili na zamek, królowa podała rękę podskarbiemu.

— Zamawiam was Jerzy Martunizi co dzień na taką wycieczkę — rzekła — musimy wszystkie łyzy w Węgrzech osuszyć, wszystkich głodnych nakarmić, wrócić wiarę wszystkim, co zwątpili.

— Nieprędko to uczynimy — odparł podskarbi — nędzy u nas bardzo dużo.

Hala, wróciwszy na zamek, poszła najprzód do siebie, zmieniła suknie, a potem pośpieszyła do królowej, która powiedziała jej, iż życzy sobie, by całe ranki z nią spędzała. Długi, ciemny korytarz dzielił jej pokój od komnat Izabelli; właśnie szła tym korytarzem, gdy uczuła czyjąś rękę na ramieniu, przystanąła, spojrzęła kto ją zatrzymuje i lekka zmarszczka zarysowała się na jej gładkiem czole. Anna Kollar stała przy niej... Hala jej nie lubiła, nie zapytała przeto, czego chce od niej. Anna, nie czekając na zapytanie rzekła:

— Sądziłam, że kobiety waszej ziemi wszystkie są lekkie i płoche, podobne do onej Elżbiety, matki króla naszego Ludwika Wielkiego, że będziecie, jak ona, tylko o tańcach i strojach myślały, omyliłam się. Teraz jam waszą przyjaciółką, teraz nie żałuję, że król na dworze królowej naznaczył mi miejsce, wierną będę jej sługą. Martunizi zbyt zajęty, by wam mógł codziennie towarzyszyć, znam wszystkie zakątki Budy, prowadzić was będę tam, gdzie łyzy i nędza mieszkanie sobie obrały.

— Królowa wdzięczną wam będzie — odparła chłodno i dumnie Hala, gdyż nie zapomniła jeszcze wczorajszej swej urazy i otworzywszy drzwi swego pokoju weszła, gdy Anna nieproszona wsunęła się za nią i siadła na jednym z krzesel.

— Takiej nam królowej trzeba było — poczęła znowu — z sercem wielkiem, z duchem silnym; błogosławiony niechaj będzie Jan Zapolya za wybór, jaki uczynił... Liczne wojny, które przez długie lata prowadziliśmy, zgnębiły naszą ziemię, setki rodzin do nędzy doprowadziły, stoimy nad przepaścią, zginiemy, jeśli dźwigać się wzajemnie nie będziemy, a dotychczas nikt o tem nie myślał. Jan Zapolya kocha Węgry, ale to słaby człowiek, jemu bodźca i zachęty trzeba do czynu, teraz lepiej będzie u nas, pokój mamy i królowę, która potrafi zeń korzystać, by rany, jakie wojna zadała, zagoić. Módlmy się wszakże o długie życie króla, bo gdy umrze, burza zahuczy znowu nad ziemią węgierską, pokój jaki zawarł Jan Zapolya, niestety trwałych, podstaw nie ma.

— Dlaczego? — spytała Hala.

— Jan Zapolya przyrzekł, że po jego śmierci korona Węgier wróci do domu austriackiego — odparła ponuro Anna.

— A jeśli syna mieć będzie? — spytała Hala.

— W takim razie wojna wybuchnie — krótko odparła Anna.



## DWIE RÓŻE.

Na zielonym gazonie  
Dwie róż kwitnie na stronie,  
Gdzie swawoli motyli rój złoty;  
Jedna zorzy odkradła  
Rumieniec — druga zbladła...  
Zbladła, jakby pod łzami tęsknoty.  
Rozkosz z jednej oblicza,  
Z drugiej łśni tajemnicza  
Boleść, co się ku niebu unosi...  
Choć jeden wietrzyk wieje,  
Jedno słońce jaśnieje,  
Jeden deszczyk ich wonną skroń rosi,  
Dla tej życiem — snu chwilka!  
Krótka jak dni motylka,  
Co skrzydełek otacza ją tęczę;  
Dla tej blaski i wonie  
I ta rzewna po zgonie  
Pieśń, co tęskne słowiki zadźwięczą.  
Tamta... w niebo wpatrzona  
I za niebem stęskniona,  
Łzą na ziemi splaciła swe życie;  
Wkrótce, zimny — po świecie  
Wiatr jej listki rozmiecie,  
Lecz woń — duch się rozplynie w błękicie

M. B.

## Tajemniczy Zamek.

(Dalszy ciąg).

— Właśnie — dorzucił Hermod — jeżeli to są poczciwi ludzie, to nie potrzebujesz się pan ich obawiać, a nawet będziesz miał sposobność ofiarować im swoje usługi...

— Gdyby ich potrzebowali — bronił się Patak — gdyby wezwali mnie, to wierzcie mi... nie wahałbym się... pójść na zamek. Ale nie bywam tam, gdzie mię nie proszą... nie wzywają... darmo do chorych nie chodzę.

— Weźmiesz pieniądze za wizytę, bądź spokojny, doktorze — rzekł Kolc.

— Doprawdy? któż mi zapłaci?

— My... ja... ile pan sam zechcesz — jednogłośnie odzwali się wszyscy.

Widoczną jednak było rzeczą, że pomimo wszystkich swoich przechwałek, doktor takim samym był tchórzem, jak inni mieszkańcy Werstu, ale że zawsze odważnego udawał, że wyśmiewał się ze wszystkich, co w strachy wierzyli, więc teraz w wielkim był kłopotcie, i nie wiedział jak odmówić przysługi, o którą go proszono. A przecież bardzo mu nie na rękę było iść na zamek, choćby mu nawet za tę wizytę zapłacić miano. Starał się więc dowieść obecnym, że wizyta jego do niczego nie doprowadzi, że wioska śmiesznością się okryje, jeżeli wyprawi posła na zwiedzenie zamczyska, w którym...

Wymownie płynące argumenta przerwał Hermod uwagą:

— Doktorze, przecież pan nic nie ryzykujesz, skoro nie wierzysz w duchy...

— Nie... nie wierzę.

— A więc skoro mieszkańcami zamku nie są i, podług pana, być nie mogą duchy, to muszą mieszkać tam... ludzie, z którymi zawrzesz pan znajomość.

Rozumowanie nauczyciela nie było pozbawionem logiki, sam to rozumiał doktor, że go zbić nie potrafi.

— Tak, prawda — przyznał — Hermod ma słuszość. Ale widzicie... mogą mnie tam na zamku przytrzymać trochę dłużej.

— W takim razie radzi panu widać będą — zauważył Jonasz.

— Tak... ale moja nieobecność może się przedłużyć, a tutaj we wsi ktoś zapotrzebować mnie może...

— Mamy się wszyscy jak najlepiej — upewniał sędzia — ani jednego chorego niema w Werście, odkąd ostatni pacjent pański na tamten świat się wybrał.

— Mów pan szczerze. Decydujesz się pan iść na zamek? — zagadnął Jonasz.

— Nie! dalibóg nie — pospieszył odpowiedzieć doktor. — O! nie dla tego, żebym się bał! Wiecie przecież, że ja nie wierzę w żadne strachy... Więcej powiem... wierę w strachy uważam za niedorzeczność... za śmieszność... Dlatego że z kominu pokazał się dym... może to nawet nie dym... Nie, stanowczo nie! nie pójde na zamek...

— No, to ja pójde!

Słowa te rzucił leśniczy, dotychczas nie przyjmujący żadnego udziału w rozmowie.

— Ty, Niko! — wykrzyknął Kolc zdumiony.

— Tak, ja, ale pod warunkiem, że doktor Patak ze mną pójdzie.

Na tak postawione wyzwanie osłupiał biedny doktor i usiłując się wykręcić:

— Co też ci do głowy przychodzi? — odparł żywo. — Mam iść z tobą... ja? Zapewne byłaby to bardzo przyjemna wycieczka, we dwóch... gdyby się na co przydała i... gdyby przedstawiała zupełne bezpieczeństwo... Słuchaj Niko, wiesz przecież, że niema wcale drogi na zamek... Nie wiadomo nawet jak dojść...

— Powiedziałem, że pójde na zamek, a kiedym powiedział, że pójde, to pójde — odrzekł Niko.

— Ale ja nie powiedziałem, że pójde — bronił się doktor, wymachując rękami tak, jakby się z kimś mocował.

— Powiedziałeś pan, powiedziałeś! — zaprzeczył Jonasz.

— Powiedziałeś! — chórem krzyknęli obecni.

Biedny doktor, na którego ze wszech stron nacierano, sam nie wiedział jak odeprzeć natarcie. Ach! jakże teraz żałował nierozważnie rzucanych przechwałek! Nigdy, nigdy nie przypuszczał ani na chwilę, że mogą być wzięte na seryo, że własną osobą płacić mu przyjdzie za słowa. Teraz nie mógł już bez narażenia się na śmieszność uchylić się od poparcia słów czynem, nie mógł! Cała okolica wzięłaby go za cel szyderczych pocisków i zjadliwych docinków, trzeba więc miną nadrobić!

— No, kiedy koniecznie chcecie — rzekł wreszcie — to pójde... Pójdziemy we dwóch z leśniczym, chociaż to wcale niepotrzebne!

— Dobrze, doktorze, dobrze! — chórem krzyknęli zgromadzeni.

— Kiedy w drogę ruszamy, Niko? — zapytał Patak, siłując się na udawanie obojętności dla pokrycia dość widocznego strachu.

— Jutro rano — krótko odparł Niko.

Po tych słowach nastąpiło dłuższe milczenie, dowodzące że tak sędzia Kolc jak i inni nieobojętnie przyjmują postanowienie wycieczki. Szklanki stały na stole próżne, butelki i dzbany do dna już wysączone, nikt jednak nie wstawał od stolika, nikt nie myślał o opuszczeniu gospody, choć późno już było i pora wracać do domu. Nasunęło to Jonaszowi zbawienną myśl nalania gościom jeszcze po kieliszku śliwownicy.

Nagle wśród ogólnego milczenia dał się słyszeć głos jakiś powoli wymawiający następujące wyrazy:

— Niko Deck, nie idź jutro na zamek! — Nie idź na zamek, bo cię spotka nieszczęście!

Kto wyrzekł słowa powyższe? Z czyich ust wyszedł ten głos nikomu nieznanym, od jakiejś niewidzialnej istoty pochodzący? Głos to być musiał z innego świata, głos ducha jakiegoś, widma...

Strach opanował zebranych, nikt nie śmiał spojrzeć na sąsiada, nikt nie miał odwagi przemówić.

Najodważniejszy, a był nim ma się rozumieć Niko Deck, postanowił dojść prawdy. Słowa te musiały przecie być wy-



rzeczonymi jeżeli nie w obrębie izby, to gdzieś obok, gdzieś blisko... Wstał więc, zbliżył się do szafy z naczyniem, otworzył...

Nikogo w niej nie było.

Zajrzał po kolei do małych izdebek tuż obok wielkiej izby leżących.

I tu nie było nikogo...

W kilka minut potem sędzia Kolc, nauczyciel Hermod, doktor Patak, Niko Deck, pasterz Fryk i wszyscy inni opuścili gospodę, pozostawiając w niej szynkarza Jonasza, który czempredzej zamknął drzwi za nimi na dwa spusty.

Tej nocy jakby im groziło zjawienie się potwornych jakichś widziadeł, mieszkańcy Werstu zabarykadowali wejścia do swych domów, czyniąc z nich istne warownie.

W całej wsi panował popłoch nieopisany.

## V.

Nazajutrz koło 9-ej rano Niko Deck i doktor Patak zaczęli się wybierać w drogę. Znali ją dobrze obydwoj, wiedzieli jakimi należy iść wązozami, aby dotrzeć jaknajprędzej do tajemniczego zamczyska.

Trudno się dziwić panicznemu strachowi mieszkańców w obec zjawisk tak zagadkowej natury, jak ukazanie się dymu, lub głosu, który dał się słyszeć w gospodzie. Byli już nawet i tacy, co ze wsi wynosić się chcieli, mianowicie cyganie, nigdy zbyt do miejsca nie przywiązani, a w każdej chacie o tem tylko mówiono i to jeszcze po cichu, ma się rozumieć. Któż bowiem inny jak nie dyabeł, nie „sam czort” mógł rzucić owe słowa nieszczęściem młodemu leśniczemu grożące? Było ich tam przecie w gospodzie Jonasza z piętnastu i to zupełnie wiarogodnych, poważnych gospodarzy, którzy je słyszeli na własne uszy; przysięgliby na to wszyscy, nikt zaś przy zdrowych zmysłach będący, nie podjąłby się dowodzić im, że się mylą. Tak; wątpliwości to już nie podlegało; Niko Deck został, wyzwany i uprzedzony, że spotka go nieszczęście, jeżeli uparcie trwać będzie w zamiarze pójścia do zamku.

Pomimo to jednak młody leśniczy nie odstępował od powziętego postanowienia, chociaż nic go do tego nie zmuszało. Jakkolwiek bowiem dużo na tem sędziemu zależało, aby wyjaśnić zagadkowe zjawisko, którego zamek był widownią, jakkolwiek wieść miała swój interes w zaprzeczeniu wszelkim pogłoskom o strachach na zamku, to jednak usilnie nalegano, na leśniczego, aby cofnął dane słowo. Spłakana, zrozpaczona z oczyma zalanemi łzami, piękna Mariota błagała narzeczonego, aby się nie narażał na niebezpieczeństwo, jakim grozi wycieczka na zamek... Nawet jeszcze przed ostrzeżeniem udzielonem przez ów głos tajemniczy, podobny zamiar był nierozważną wielką, teraz zaś jest szaleństwem poprostu. Jakto! ślub za dni parę, a Niko narażać chce życie i chociaż narzeczona na kolanach go błaga, on przecie prośbie jej nie ulega...

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

przez Ewę Maryę.

W głębiach niezmiernych ziemi ukryta,  
Szara i niepozorna,  
Pod młota ciosem jęczy i zgrzyta,  
Twarda, oporna.

Ale zmieniona ognistym żarem  
Z siłami rąk dzielnemi,  
Stała się nieba największym darem  
Dla prac na ziemi.

Ileż z niej rzeczy! Cudem się dzieje,  
Że ta zmieniona bryła,  
Jak siecią różne objąwszy kraje,  
Ludzi zbliżyła.

Dążąc po jednej nici tej siatki,  
W dalszą z Warszawy stronę,  
Ujrzymy z nazwą jej domy, chatki  
Tuż rozproszone.

## ŁAMIGŁÓWKA SYLABOWA.

od Jani J. dla A. i Z.

Z następujących sylab: Ar—ses—za—to—lis—ne—  
—zle—u—cna—al—be—taj—nóg—on—ryasz—ke—stor  
—ta—mi—gla—mi—al—rzed—wie—na—ta—ski—buz—  
niaw—se—din—e—ge—nio—rio— ułożyć wyrazy: 1. Metal najcenniejszy. 2. Bohater wojny trojańskiej. 3. Prorok hebrajski. 4. Miasto nad Elbą. 5. Jeden z najstarszych książąt trojańskich. 6. Bogini boleści u Greków. 7. Pasma gór w Azji. 8. Ryba z rzędu komoroskrzelnych, okrągłoustych. 9. Jezioro w Kanadzie. 10. Grupa przedmiotów posiadających w klasyfikacji jednakowe cechy. 11. Owoc rośliny z rodz. ogórkowatych. 12. Jeden z najślawniejszych skrzypków naszych czasów. 13. Miasto nad Cissą. 14. Rzeka w Finlandyi. 15. Jedna z trzech mitologicznych Gracyj. — Początkowe litery tych wyrazów powinny złożyć imię i nazwisko współczesnej autorki dla młodzieży, końcowe tytuł jej powieści.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Szarady: Je—men.

**Prenumeratorom półrocznym przypominamy odnowienie prenumeraty, dla uniknięcia zwłoki w przesyłce Pisma.**

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rs. 4, na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.  
Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

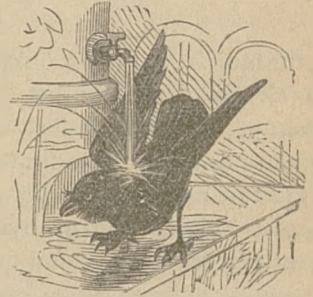
REŚC: Balonem do bieguna, p. Wł. Umińskiego (z drzew.). — Kilka słów o ludziach dobrej woli, trochę o owocach i nieco o kwiatach, p. Zofię Urbanowską (z drzew.) — Mały królewicz, powieść z dziejów węgierskich p. Teresę Jadwigę. — Dwie róże, wiersz p. M. B. — Tajemniczy zamek. — Łamigłówni i rozwiązania. Dodatek: Kubuś p. V. Cairo (z drzew.) — Jadzia, wiersz p. M. Z. — Gąbka p. Maryą Weryho. — Lekkomysłny Franuś, Henryka Wernica. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Wśród puszczy meksykańskich.



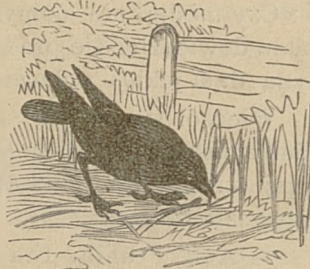
# WIECZORY RODZINNE.

## KUBUŚ.

Nie domyślilibyście się nigdy, czytelnicy, jakiego ja mam przyjaciela! Nosi zawsze prześliczną, czarną jak aksamit sukienkę, a jest przytem tak miły, sprytny, i zabawny, że przepadamy za nim w domu wszyscy, pomimo, że czasami umie broić szalone figle. Pamiętam, przyniesiono nam go kiedyś z lasu prosto z gniazda, a młody kruczek tak nam odrazu przypadł do serca, że postanowiliśmy zająć się jego losem. Lecz niestety, wczesnie bardzo zaczęły się objawiać złe instynkta w naszym wychowawcu. Kubuś był widocznie wielkim ładaco, bo zaledwie podrośł trochę, już się okazało, że miał żyłkę do złodziejstwa.



Straszna wada!... pewnego dnia pochwycił napastrzek mojej siostrzyczki Maryni i przetrzymał go w ukryciu całe pół dnia, innym znów razem podobały mu się okulary babuni, dla których bardzo odpowiednie schowanie znalazł w podwórzu pod drzewem, a kiedyś jeszcze wyszperał w koszyczku i porwał zeń klucz od piwnicy, czem doprowadził do rozpaczyci starą naszą gospodynię. Ale jaki on jest śmieszny!... Dziś rano naprzykład wyciągnął portmonetkę z kieszeni paltota wujaszka i dalejże rozkładać pieniądze jakby je liczyć zamierzał. To samo było z biletami wizytowymi. Udawał, że odczytuje wszystkie na nich nazwiska, a robił to z taką zabawną powagą!...



wam go nawet, że chciałby się pozbyć swej smutnej czarnej barwy, zazdroszcząc białych sukienek gołębiom, ale darmo!... Na to trzeba mieć słodycz i łagodność gołąbków. Nie wiem od kogo się Kubuś nauczył, chyba od swej przyjaciółki sroczi, naśladować cudze głosy, nie po-

znalibyście gdy zacznie ryczyć jak krowa, albo szczekać przedrzeźniając Minetkę. Wczoraj byłam zdumiona, słysząc jak wybornie naśladował trąbkę starego Jana. Sądziłam, że najpewniej Jan sam powraca z polowania. A to Kubuś trąbił, używając przejażdżki na grzbiecie naszego pokojowego pieska, który unosił go zmykając, przestraszony tą muzyką.

Czasami Kubuś poczuwa ochotę do dalszego spaceru, a wówczas nie krępuje się niczym pozwoleniem. Zabiera się daleko w pole wraz z oraczami, którym niezmiernie lubi towarzyszyć — siada na grzbietach wołom i nachyla się do ich wielkich uszu, jakby im opowiadała coś ciekawego...

Apetyt służy mu wyśmienicie i to o każdej porze. Wynajduje sobie na ziemi różne ziarneczka i okruszyny, ale najlepiej lubi jadać przy stole równocześnie z nami.

A czy wiecie, że Kubuś jest przytem literatem? Tak jest, nie śmiecie się. Jak tylko zobaczy niedomknięte drzwi naszej szkoły, czempredziej wsuwa się do pokoju i gospodaruje tam z całą swobodą. Otwiera książki, przewracając kartki jedne po drugich, jakby się czegoś z nich uczył, rozrzuca kredy i ołówki, a umoczywszy dziób w kałamarzu, wodzi nim po papierze tworząc odrębne jakieś hieroglificzne pismo. Czy chcielibyście czytelnicy mieć takiego kruczka jak Kubuś, któryby się podjął za was odrabiać zadane lekcje?...

V. Cairo.



## JADZIA.

— Proszę mamy, jeśli łaska,  
Kupić dla mnie książkę jaką,  
Choćby wcale bez obrazka,  
Prostą sobie, zwykłą taką!

Tak prosiła Jadzia mała,  
A służąca z niej się śmiała:

— Zkąd ci Jadziu ta ochota?  
Poco kłopot panienczce  
Proś o lalkę, ptaszka, kota,  
Ale co ci po książeczce!

A Jadzia jej odpowiada:  
— Moja droga, trudna rada,  
Ptak zwykły śpiewać, kotek mrużyć,  
A człowiek się musi uczyć.

M. Z.

## GĄBK A.

Na dnie morza pływało jakieś dziwne stworzenie: wyglądało jak mała żółta kulka, pokryte wokoło mnóstwem włosków, któremi wciąż ruszając, posuwało się tym sposobem naprzód. Co jadła ta istota, któż mógł wiedzieć — była tak mała, tak mała, że ją tylko przez szkło powiększające widzieć można było; zapewne żywiła się stworzeniami jeszcze mniejszemi od siebie.

Po niejakiem czasie zwierzątko to pływać przestało, niewiadomo, czy się zmęczyło, czy może niedomagało, dość że spadło na dno morza, uczepiło się jakiegoś dużego kamienia i nigdy się już z miejsca nie ruszyło, stałe zamieszkałszy na dnie morskiem. Spotkało tam więcej podobnych sobie towarzyszek, ale te były znacznie większe. Woda morska przynosiła im od czasu do czasu to drobne roślinki, to zwierzątka, któremi się żywiły. Pokarm ten widocznie dobrze im służył, bo z dniem każdym rosły i powiększały się. Z dniem każdym nowe przybywały do nich towarzyszki, a każda z nich tak samo czepiała się jedna drugiej i taki sam żywot pędziła.

Dziwne te stworzenia, złożone z samych komórek, nazwano gąbkami, a patrząc na nie zdaleka, prędzej można by je wziąć za rośliny niż za żyjątka. Na jesieni każda gąbka wypuściła z siebie rodzaj kuleczek czyli pąków, ale sama zato stawała się coraz słabszą, coraz mniej przyjmowała pokarmu, coraz wolniej włoskami poruszała i w końcu umarła, to samo działo się z innymi gąbkami, jej towarzyszkami.

Tak nadeszła zima; w towarzystwie gąbek cicho było i spokojnie, jakby wszystko powymierało, zimna woda od czasu do czasu kołysała ich szkieletami, ale żadna z nich się nie obudziła.

Z wiosną małe pąki odczepiały się od rodzicielskiego ciała, a że na ich powierzchni odrosły także rzęski zaczęły sobie pływać po morzu, jak ich rodzice w zeszłym roku; ale również jak ich rodzice po pewnym czasie upadły na dno, uczepiły się szkieletów rodziców

swoich lub tym podobnych, wypuściły pąki i umarły. Tak się to powtarzało rok rocznie. Ze szkieletów gąbek utworzył się na dnie morza duży krzew, który jakoś prędko ludzie spostrzegli. Zabrali ze sobą duże żelazne drągi zaopatrzone na końcu w rodzaj zębów, wsiedli na łódkę i popłynęli na morze. Drągi zanurzali w wodzie a zębami urywali część takiego krzewu. Chcąc jednak dostać gąbki lepszego gatunku, udają się na głębsze morze, a wydobywanie gąbek jest wtedy nieco trudniejsze; czynność tę pełni nurek. W tym celu przywiązują do grubej liny kamień, na którym się opiera nurek ubrany w odzież z kauczuku, która wody nie przepuszcza i prędko spuszcza ją do wody. Nurek odcina od skały jak najwięcej gąbek, chowa do worka uczepionego u pasa, a zostaje pod wodą tak długo, póki nie zabraknie mu powietrza, targa wtedy liną, którą trzymają koledzy i ci prędko wyciągają go z wody. Gąbki jednak wyciągnięte z morza, nie są zdane wprost do użycia, trzeba je do brze oczyścić ze śluzu jak również i z piasku, z kamyczków i muszli, wtedy dopiero mogą być wzięte do użytku. Najwięcej gąbek łowią w morzu Śródziemnym i Greckiem, dla tego też Grecy najczęściej zajmują się ich sprzedażą.

Marya Weryho.

## LEKKOMYŚLNY FRANUŚ.

przez

Henryka Wernica.

(Dalszy ciąg).

Czy matka nie domyślała, się niczego czy też nie chciała dowiedzieć się prawdy, dosyć, że nie pytając już o syna dała jakieś polecenie Józii i odeszła do chorego.

Wieczór się zbliżał a Franuś nie powracał. Gdy się już zmierzchało, Józia spojrzała przez okno i na przeciwnej stronie ulicy ujrziała brata, który dawał jej znak, aby wyszła do sieni.

— Ach Franiu, Franiu! — zawołała siostra z gorzkim wyrzutem, zamknąwszy drzwi pokoju — bardzo źle jest z naszym ojcem, był już ksiądz u niego. Ojciec chciał cię widzieć, a ty...

Gwałtowny płacz nie dozwolił dziewczynce dokończyć. Po chwili dodała.

— Wiem, że nie byłeś w szkole; wiem, że niesłusznie oskarżyłeś psa o wściekliznę. Był tu ten stary pan i powiedział mi wszystko, lecz mama nic o tem nie wie. Jakże ty wyglądasz — rzekła ciągle płacząc. — Idź do drwalni — dodała po chwili — przyniosę ci tam ubranie, a jak się przebierzesz wejdź do pokoju; lada chwila ojciec zawołać cię może.

Kiedy Józia powróciła do pokoju, matka wyszła od chorego ojca i spytała: gdzie Franio?

— Franuś już jest — odrzekła dziewczynka, niedługo tu przyjdzie.

Po niejakiem czasie drzwi się otworzyły i Franuś stanął w pokoju bardzo smutny i przerażony. Matka spojrzała na niego wzrokiem, w którym się odzwiercie-



dla ciężki smuteki boleść zranionego serca macierzyńskiego i cichym dodała głosem :

— Idź do ojca, oddawna cię chce widzieć.

Franuś niewypowiedziane cierpiał męczarnie. Złorzeczył w duszy swej lekkomyślności, bo czuł, że nieobecnością swoją zatrul może ostatnie chwile ojca. Gdy stanął przy łożu chorego przykłąkł. Ojciec gasnącym spojrzał na niego wzrokiem i rzekł :

— Błogosławię cię, bądź tak dobry jak twoja siostra; — a potem spytał: — czy wuj przyjechał?

Oddawna pan Z. przeczuwając niebezpieczeństwo grożące jego życiu, polecił napisać do brata żony, aby czemp prędzej przybywał do Warszawy. Zaledwie Franuś wyzedeł z pokoju ojca, dał się słyszeć turkot zajeżdżającej dorożki, z której wysiadł mężczyzna około lat 40 mieć mogący. Franuś wybiegł na jego spotkanie z pokoju. Był to oczekiwany brat matki: człowiek zamożny, bezżenny, człowiek który w swem życiu wiele ucierpiał, wiele doświadczył, a przed niedawnym czasem zakupił niewielką majątność w okolicy Włocławka.

— Cóż u was słychać? spytał wuj gdy Franuś całował go w rękę.

— Żle, bardzo źle — rzekł chłopiec i wprowadził wuja do pokoju.

Wuj przywitawszy się ze swą siostrą i z Józją, bezwłocznie udał się do chorego. Nikt nie wiedział o tem co z sobą mówili, gdyż nawet matka Józji nie była przy tem obecna.

Nazajutrz chory zamknął nazawsze powieki. Wuj po załatwieniu czynności pogrzebowych i pochowaniu krewnego chciał wziąć do siebie siostrę z dwojgiem dzieci. Ale matka i Józja na to się zgodzić nie chciały mówiąc, że dopóki mają ręce zdrowe, na siebie zapracować mogą. Tak tedy jedynie Franio pojechał z wujem.

#### IV.

Wuj mieszkał niedaleko Włocławka, w ładnym mająteczku od niedawna nabytym. Śliczne to było miejsce. Był tu i lasek i woda, przedewszystkiem zaś duży ogród owocowy z altanką. Wszystko to przejął od poprzedniego dziedzica. Jedynym jego dodatkiem była obszerna w środku ogrodu ptaszarnia pokryta drutem, w której hodowały się bażanty, pawie, różnego rodzaju zagraniczne kury i inne drogie ptactwo. Był to jedyny zbytek na jaki sobie wuj pozwalał. Do ogrodu przylegał ładny, dosyć obszerny budynek. Wszystko w nim świadczyło, iż dawniej musiał być zamieszkały przez ludzi wytwornego smaku. Wyblakłe obicia, wydeptane perskie kobierce, ciężkie starodawne firanki, duże kwadratowe jaśniejsze miejsca na ścianach, na których niegdyś zapewne wisiały obrazy pierwszorzędných mistrzów przekonywały, że obecnie niewiele dbano o wewnętrzne umeblowanie.

Do tego to ustronia przywiózł wuj Franusia. Nie miał on dzieci, a i żona jego już nie żyła, postanowił tedy szczerze zaopiekować się chłopcem, przyrzekł nawet siostrze, że gotów jest uznać go za syna i uczynić spadkobiercą swego majątku. Zamiaru wszakże swego nikomu nie wyjawiał, chcąc najprzód przekonać się, czy Franuś zachowaniem się swoim zasługiwać będzie na to.

Z początku Franuś, wobec ciężkiego smutku i strapienia jakie go dotknęło, obojętnem spoglądał okiem na wszystko co go otaczało. Wychodził z wujem co rano w pole, towarzyszył mu do ogrodu, karmił ptaki i z największą skrupulatnością spełniał wszystkie wuja polecenia. Ale z biegiem czasu wesola obecność wzięła górę nad smutną przeszłością. Listy jego do matki i siostry coraz mniejszym były nacechowane smutkiem. Przyzwyczał się do wuja i do nowego trybu życia. Poznał się z kilku swojemi rówieśnikami i kiedy wuj mu pozwalał, bawił się z nimi w ogrodzie lub na obszernej łące.

Tak minęło około 5 miesięcy. Wuj zupełnie był zadowolony ze swego wychowanka, ale jako człowiek poważny, chciał widzieć przyszłość jego zabezpieczoną. „To czego człowiek za młodu się nauczy — mawiał wuj — jest twardym kapitałem, który w późniejszym czasie niespóżyte przynosi korzyści.”

W szkole elementarnej do której Franuś w Warszawie uczęszczał, niewiele mógł się nauczyć. Wuj widząc rozmaite jego wyroby z drzewa: młynki, czółenka, domki i tym podobne, uznał za stosowne oddać go do szkoły realnej, ale chciał żeby od razu wstąpił do niej należycie przygotowany; postanowił przeto wziąć do niego nauczyciela, o czem mu kilkakrotnie wspominał.

Wzdrygał się Franuś na samą myśl ciągłego nadzoru i systematycznej nauki, bo po długiem próżnowaniu, jak to dobrze wiecie, bardzo ciężko przychodzi praca. Nastąpił wreszcie dzień, którego Franuś tak bardzo się obawiał.

Wuj powierzył jego wychowanie doświadczonemu nauczycielowi panu K. Ten zrozumiał od razu, że potrzeba będzie użyć całej energii, aby lekkomyślnego chłopca sprowadzić na drogę pracy i obowiązku. Sumienny ten człowiek, pilnie uważający na wszystko co się tyczyło dobra wychowanka, zażądał iżby wuj przelał na niego całkowitą swą władzę.

Z początku Franusiowi dosyć trudno szła nauka, lecz pan K. ułatwiał ją o ile było można, wymagał tylko staranności i uwagi, co właśnie dla Franusia było rzeczą najtrudniejszą. Był on wprawdzie dosyć pojętny, ale nie zawsze z jednakową pracował usilnością, dla tego nie zawsze umiał odrobić to co mu zadano. Niestety, należał on do tych chłopców, którzy nieraz całemi godzinami umieją siedzieć nad książką, powtarzając nakreślone na niej wyrazy, ale nie myślą o nich; dla tego pospolicie po tej pozornej nauce nic nie umieją.

Pan K. nie mógł z obojętnością spoglądać na ospałość Franusia, gdyż zobowiązał się, iż w przeciągu półtora roku przygotowuje go do klasy trzeciej; zmuszał więc swego wychowanka w chwilach wolnych, przeznaczonych na zabawę, do ponownego uczenia się tego, czego nie umiał. Stąd początek pewnej niechęci pomiędzy Franusiem a jego nauczycielem.

Tak minął rok cały, gdy jednym razem w zimie, podczas gdy wuj miał gości w piękny dzień, wszedł służący wysłany za jakimś interesem do Włocławka, mówiąc, iż do tego miasta przybyła trupa aktorów, że za dwa dni dają tam wielkie przedstawienie i dodał, że jeden pan z tej trupy przybył, chcąc się z panem widzieć.



Wprowadzony artysta wyjął z kieszeni wielki afisz, zapowiadający na Sobotę pierwsze przedstawienie. Miano grać sztuki Fredry i Korzeniowskiego. — Wuj bardzo się ucieszył, że będzie mógł znów urzecz pana Jowialskiego i bez namysłu wziął kilkanaście biletów. Za jego przykładem poszli i goście.

Przy obiedzie wuj rzekł do Franusia: — „Jeśli pan K. będzie z ciebie zadowolony, to i ty pojedziesz do Włocławka.”—Franuś nie posiadał się z radości; nigdy jeszcze nie w był teatrze, a tyle o nim już słyszał. Pocałował wuja w rękę i odszedł od stołu z obliczem promieniącym radością.

(d. c. n.)

## ZAGADKA.

Wszędzie sam wlezie gdzie go nie potrzeba,  
Jak plaga jaka, jakby kara nieba.  
W górze, na ziemi, wciąż się poniewiera,  
Czytać nie umie, a po książkach szpera.  
Každy, a każdy, pragnąłby go ubić,  
I raz ten owad nieszczęsny wygubić.

## ŁAMIGŁÓWKA KRYSZTAŁOWA.

1. Spółgłoska.
2. Zbiór drzew dziko rosnących.
3. Drzewo użyteczne, należy do rodziny szyszkowych, rośnie na północy.
4. . . . .
5. Drzewo z rodziny pokrzywowatych, liście służą jedwabnikom za pożywienie.
6. Drzewo z rodziny miseczkowatych, korę używają do garbow. liście do wyściełania materaców.
7. Spółgłoska.

Środkowy rząd i środkowe litery złożą nazwę rośliny z rodziny złożonych, rosnącej u nas po łąkach, hodowany bywa także w doniczkach, kwitnie w zimie w różnych odmianach.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Szarady: C i s.

### Łamigłównki sylabowój:

1. Dorpat. 2. Rylec. 3. Opole. 4. Görlitz. 5. Inn.
6. Elba. 7. Jarkand. 8. Brest. 9. Rosetta. 10. Zaandam.
11. Yi. 12. Daryusz. 13. Orkady.

Drogi Brzydotce z nad Tamizy.

## Skrzynka do listów.

O konkursie dla staruszek pamiętamy, *Норпыно* kochana. „Janek sierota” oddawna nie dał znaku życia; o losach jego nie wie dotąd autorka „Wyspy Atlanty.” Ogród zoologiczny szczątki zaledwie pozostały.

*Fatymo* droga, dlatego zadaliśmy ci pytanie, o którym mowa, że odpowiedź twoja, aczkolwiek dobrze napisana, miała formę listu, nie wypracowania.

Z jak najmiłą chęcią przyslibyśmy w pomoc usiłowaniam *Pensyonarek*, biorącym się do zajęcia tak miłego, jak hodowla kwiatów, ale podręcznika w cenie jaką przeznaczają niema wcale.

**Cz. Bas**, zawsze jak najchętniej udzielimy rady, z przyjemnością bowiem widzimy, że nietylko radę, ale nawet nauczkę i nagane przyjmować umie, co korzystnie o nim świadczy.

Mamy nadzieję, że i *Janinka Pod*, pójdzie za jego przykładem. Powiemy jej to, co nieraz mówimy kochanym naszym czytelnikom pytającym nas o radę co do zabawiania się piórem: chęć do pisania a nawet łatwość pisania wierszy nie jest jeszcze talentem. Wyrobić go w sobie trzeba pracą, pogłębić myśleniem, nauką, wydoskonalic wprawą. Nauczycielka *Janinki* słusznie twierdzi, że pisaniem styl się wyrabia i wierszyk „Wdzięczność” należnym jest dla niej holdem, do druku wszakże się nie nadaje. Co zaś do błędów, o których wytknięcie prosi *Janinka*, to zamiast je wyszczególniać, radzimy niech J. weźmie utwory, którego z pierwszorzędnych poetów; niech zwróci uwagę na rym, na średniówkę, na części mowy, z których składają się końcówki, a zrozumie, czego jej niedostaje.

Za pamięć o koloniach letnich dziękujemy *Sikorce z nad Utraty*.

*Tulipan* przysłał nam łamigłównkę; Redakcja chętnie umieszcza nadesłane, jeżeli są dobre, prosi wszakże, aby na próbę przysłał inną.

Odebraliśmy także logograf od *Sekundy*, który w wolnym czasie będzie przejrany.

Żałujemy bardzo, że pierwsza nasza odpowiedź nie doszła *Czarodzieja z nad Ligówki*; prosimy o przysłanie łamigłównki.

Ja zawsze powiadam, moje drogie, że ta nasza *Gołąbka* to pocziwa ptaszyna: przyjaźni, jaką sobie u was zaskarbiła zawdzięczam teraz wasze listy, *Słowiczku z nad Łubiany*, i *Pieszczołko mamy*. Jak ja żałuję, że ogródków waszych widzieć nie mogłem zamiast latać po świecie jak moje skrzydlate imieniczki, ja siedzieć muszę i uczyć się. *Józio* także pracuje nad egzaminami. Wszystkim odpowiadamy, *Wiosenko*, i nie mylisz się twierdząc, że chętnie. Nagroda twoja została ci wysłana, a przedtem jeszcze odbierzesz podziękowanie, za zasiłek na kolonie letnie. *Wiosenko* imieniku tu Nr. 2 powinnaby przybrać sobie jaki przymiotnik, o co ją prosimy. Ucałować mnie zawsze możesz, listownie—osobiście nie, bo i mnie także obowiązują te same przepisy, co *Gołąbkę*. Nie poznamy się więc, *Kwiatku pustyni*, ale korespondować z sobą możemy i bardzo nawet pragnę tego. Moja *Dumko H.* po co mam ci lata moje wymieniać? Jak zostanę staruszką, to wam o tem doniosę. Objasnień co do wyspy *Atlanty* udzieliła przecież autorka i to lepszych, niżbym ja udzielić mogła. Przez całe wakacje pisywać do was będę, *Sekundo*, bo jeżeli wyjadę, to niedaleko od Warszawy i listy wasze Redakcja odsyłać mi obiecuje. Lubię wieś i chętnie przepeczę na wsi parę miesięcy letnich, ciesząc się widokiem pól i ogrodów. *Fatymo*, serdecznie dziękuję, za kwiatki: Zacie zasłony na lampy z bibułki, pomiędzy której dwa arkusze nakleja się zasuszone kwiatki? Otóż ja sobie zrobię podobne ekraniki do okien; co bardzo ładnie wygląda, a kwiatów przysłanych mi przez *Fatymę* użyję na zaccie roboty. Jeśli mi się to uda, to wam doniosę, a teraz pozdrawiam was wszystkie serdecznie.

Jaskółka.

### Na kolonie letnie złożyli:

Mrówka leśna rs. 3. — p. Dobrowolska rs. 5. — *Sikorka z nad Utraty z siostrzyczką* rs. 1. — *Reginka M.* rs. 1. — *F. M. D.* rs. 10. — *Adaś, Kazio i Amelcia* rs. 2. — *H. F. kretonu na sukienki.* — *Pojata i Rzepicha* rs. 3. — *Wróbel z nad Wołku z siostrzyczką Perelką* rs. 5. — *Ciż dla biednych matek* rs. 2. — *Pensyonarki z wstępnej klasy* rs. 3 kop. 30.